

Niełatwa historia rodziny Lederów

Przy ulicy Wólczańskiej 140 w Łodzi rodzina profesora Andrzeja Stankiewicza odsłoniła Stolpersteine – Kamienie Pamięci upamiętniające Szymona, Ewę i Artura Lederów – członków rodziny Lederów zamordowanych w czasie II wojny. W rozmowie z Justyną Tomaszewską, profesor Stankiewicz, jego żona Ewa oraz kuzynka Joanna Ilana Deutscher, opowiadają o wieloletnich badaniach genealogicznych, powrocie do rodzinnych korzeni i trudnej historii, która wciąż odkrywa nowe tajemnice.

Rodzina Lederów miała głębokie związki z Łodzią, będąc właścicielami willi Geyera przy ulicy Czerwonej 3 w latach 1921–1932, a w której dziś mieści się Okręgowa Izba Lekarska.

Justyna Tomaszewska: Panie Profesorze, bada Pan losy rodziny, robi śledztwa niczym Indiana Jones od ponad dziesięciu lat. Czy te poszukiwania się skończyły, czy jeszcze trwają?

Andrzej Stankiewicz: – Jeszcze trwają i będą trwać jeszcze długo. Jestem już na szczęście na emeryturze, więc mam trochę czasu na hobby. Cały czas wychodzą na światło rozmaite nowe wątki. Jeszcze jest wiele pytań, na które nie udało nam się dotąd znaleźć odpowiedzi. Dużo już wiemy, opisałem to w swojej książce „Mieszaniec”, którą polecam – przybliżyła ona losy naszej rodziny wiele pokoleń wstecz.

Joanna Deutscher: – Mnie się wydaje, że dużo jest już odkryte. My wcześniej wiedzieliśmy, że w Polsce mieszka wujek, ciotka i mój kuzyn, wiedzieliśmy, że jest rodzina w Ameryce, w Kanadzie... Jednak kiedy Andrzej zaczął pisać książkę, to odkryliśmy wiele nowych wątków. Ja znałam te rodzinne opowieści od A do Z, bo mama dużo opowiadała, a po śmierci mamy i babci odkryliśmy jeszcze w Izraelu dużo dokumentów. Nie mamy wszystkiego, bo oni przecież uciekali, więc się papiery zgubiły lub zostawiali te mniej istotne rzeczy za sobą.

Jak się czujecie, jak wracacie do Łodzi? Czy wracacie do siebie, czy jest to tylko odległe rodzinne wspomnienie?

JD: – Ja nic nie pamiętam. Miałam sześć i pół roku, gdy wyjechałam. Jestem tu urodzona, mieszkaliśmy przy Radwańskiej 25. Lubię tu wracać, mówić po polsku, słuchać. Pierwszy raz wróciłam do Łodzi w 1992 roku z mamą, byliśmy u rodziców Andrzeja.

A mama zabierała cię tutaj na spacer i mówiła, że to kiedyś należało do rodziny? Czy opowiadała jakieś historie?

JD: – Mama zawsze mówiła: „myśmy się urodzili w pałacyku”, opowiadała o tym dużo. W 1992 roku Janek, ojciec Andrzeja, nas tu zabrał, ale nie weszliśmy do środka, bo było tu przedszkole.

AS: – My znaliśmy historię rodziny, mnie też tu ojciec kiedyś zabrał. Wiedzieliśmy, że firma Szymona Ledera przepadła na skutek wielkiego kryzysu, że rodzina straciła wszystko. Ojciec do tego nie wracał. Czasem tylko mówił, że były tu korty tenisowe...

JD: – Moja mama dużo o tym mówiła. Bardzo lubiła wspominać, że miała tutaj cudną młodość. Opowiadała, że tutaj, na pięttrze lub na parterze, mieszkali rodzice jej mamy. Mówiła, że miała kota i kanarka. Kiedyś wypuściła kanarka i kot go zjadł! Od czego czasu nie chciała mieć ptaszków.

AS: – Nie znałem tej historii! W 1932 roku mama Joasi miała dziesięć lat, a mój tata miał sześć lat. Niestety, nie mamy zdjęć z willi. Jego jedyna pamiątka z tego terenu, to fotografia, która jest na okładce książki – chłopczyk z rowerkiem.

Jakie były łódzkie losy rodziny?

AS: – Szewach (Szymon) Leder, urodzony w Częstochowie, potomek krawców sieradzkich, miał ambicje zostania kimś w Łodzi. Przyjechali tu z całą rodziną, z rodzicami, jego matka jest pochowana na cmentarzu żydowskim przy Brackiej w Łodzi. Niestety, nie udało nam się odnaleźć jej nagrobka. Szewach był młody, kiedy ojciec zmarł, musiał utrzymać rodzinę. Zaczął chyba jak większość od handlu, małego sklepiku czy kramu.

Spotkał na swojej drodze dwóch innych młodzieńców, Maurycego Heymana i Karola Porsche. Założyli przy ulicy Łagiewnickiej pierwszą swoją firmę. Potem już Karol Porsche jakoś zniknął z tego scenariusza, ale nie wiem, jak oni się rozstali. Został pradziadek z Maurycem. Przy ulicy Kątnej 12/14 (dzisiaj Wróblewskiego) założyli „Bielarnię, merceryzarnię, farbiarnię i wykończalnię towarów bawełnianych, wełnianych i jedwabnych”. W 1921 roku rodzina Lederów kupiła willę Ryszarda Geyera przy ulicy Czerwonej 3, w której obecnie mieści się Okręgowa Izba Lekarska w Łodzi. Mieszkali tu do 1932 roku. Fabryka się rozwijała, inwestowali w maszyny, w ludzi. Potem przyszedł wielki kryzys i stracili wszystko, nawet łódzkie gazety pisały, że dobrze zapowiadająca się fabryka zbankrutowała. Mieli pecha – na rok przed wielkim kryzysem włożyli w interes wielkie pieniądze i przyszedł kryzys. To był dla Łodzi trudny czas. Oni nie byli jedyni.

Co było dalej z rodziną?

AS: – Wyprowadzili się stąd. Dziadkowie, czyli nasz dziadek z babcią i jej i moim ojcem zamieszkali na Radwańskiej. Pradziadkowie i Artur zamieszkali na Wólczańskiej 140.

Gdy wybuchła wojna, to rodzina wyjechała z Łodzi?

AS: – Wszyscy pojechali do Warszawy, bo myśleli, że Warszawa będzie się dłużej bronić. Piątego września był apel pułkownika Romana Umiastowskiego, żeby mężczyźni zdolni do noszenia broni poszli na wschód, bo tam będzie tworzona armia. Nasz dziadek, Ignacy Heyman też poszedł na wschód.

Po upadku Warszawy babcia z dziećmi wróciła do Łodzi, a właściwie do Litzmannstadt, nawet przez chwilę mieszkali w domu przy Czerwonej, zajętym już przez Niemców. ale znowu zdecydowała się na wyjazd.

Ta historia wojenna jest bardzo burzliwa, oni na wschód uciekali przez „zieloną granicę”, dwoje dzieci z matką, z naszą babcią.

JD: – Z tysiąc razy słyszałam, jak oni biegli przez las nad Bugiem, a nasza babcia, która na koncerty jeździła do Paryża, musiała przez lasy biegać z plecakiem. Człowiek robi wszystko, żeby przeżyć.

A kto został w Warszawie?

AS: – Prababcia Ewa, ona powiedziała, że co będzie, to będzie, mają kartofle w piwnicy, najwyżej trochę zmarzną, przeżyła I wojnę, przeżyje i tę. Była jeszcze młoda, miała trochę ponad 60 lat, biegle mówiła po niemiecku. Nikt nie wiedział, co się wydarzy...

Czy wasza rodzina, dziadkowie i rodzice dostali się na Syberię?

JD: – Gdy przeszli przez „zieloną granicę”, osiedli we Lwowie, a stąd sowietzi wywieźli ich do łagru w Republice Autonomicznej Mari El. Kiedy podpisano układ Sikorski-Majski, Rosjanie im powiedzieli, że mogą jechać na wschód, na Syberię albo na południe. Dziadek stwierdził, że on wie, jak można żyć, kiedy jest zimno, ale nie umie żyć, kiedy jest gorąco. Wiec pojechali do Kontoszino w Ałtajskim Kraju, pod granicę z Mongolią. Mieli rację. Nikt z nich nie umarł. Nie było dużo do jedzenia. Musieli rąbać drzewa, ciężko pracować. Na południu ludzie umierali, bo nie było co jeść i pić. Był tyfus i różne choroby.

Po wojnie część rodziny wyjeżdża do Izraela?

JD: – W 1957 r. ja, moja siostra, rodzice i babcia wyjechaliśmy. To były pierwsze alije, nie było łatwo. Babcia była nieszczęśliwa.

AS: – Ta decyzja była bardzo trudna dla babci, która wraz z córką, zięciem, dwiema wnuczkami, pozostawiła w Polsce syna z nieżydowską żoną i małego wnuka, czyli mnie.

Czy rodzina pisała do siebie dużo listów?

AS: – Listy pisała Elżbieta Heyman, zwana Dziutą, nasza babcia. Listów z aliji jest ponad tysiąc pięćset! Mój ojciec zachował je wszystkie. Czytałem je kilka miesięcy. Moja babcia i jej syn widzieli się tylko cztery razy przez 35 lat, rząd komunistyczny skutecznie im utrudniał wizyty.

JD: – Ja nie wiedziałam o istnieniu tych listów, nie zdawałam sobie sprawy, jak było im ciężko. My byliśmy w Tel Avivie, nie czułam tego, że mieliśmy źle. Wszyscy emigranci żyli podobnie, cały dzień się bawiliśmy w ogródku. Ja miałam szczęśliwą młodość, to nie były moje troski.

A kiedy wy się zobaczyliście pierwszy raz?

AS: – W Hanowerze w 1974 r. Byłem na saksach. Joasia objechała Europę i Amerykę.

JD: – Pojechałam do Hanoweru i Andrzej powiedział mi, żebym nie mówiła, że jestem z Izraela, tylko że z Grecji.

AD: – Byłem nauczony ostrożności. Mój ojciec przeżył Marzec`68, bał się, jego kolegów wyrzucono z pracy. W książce opisuję taką historię, jak byłem z nim z ostatnią wizytą u kolegi, który musiał wyjechać. Puste mieszkanie, ostatnia rozmowa. To było bardzo trudne dla niego. W domu był zakaz mówienia na te tematy.

Panie Profesorze, jaka jest historia pańskiego nazwiska?

AS: – Mam dokument z Urzędu Miasta Łodzi z 1946 roku, w którym prezydent udziela Sewerynowi Heymanowi zgody na zmianę nazwiska na Stankiewicz, zgoda rozciąga się również na rodziców, czyli Ignacego Heymana i Gustawę Elżbietę. Było to tydzień po pogromie kieleckim. Moje podejrzenie jest takie, że to był bezpośredni powód do zmiany. Nawet tu, w Łodzi, sytuacja była napięta.

Dziadek Ignacy nigdy właściwie pod nazwiskiem Stankiewicz nie wystąpił, zmarł w następnym roku na wiosnę. Babcia całe życie występowała jako Heyman. Przynajmniej tak myśleliśmy, całkiem niedawno, przyszedł do mnie na adres warszawski list z Urzędu Miasta Łodzi z prośbą o kontakt w sprawie ewentualnego dziedziczenia. To jest też historia, której nie zdążyłem napisać w książce.

Zadzwoiłem. Co się okazało? Kiedy firma pradziadka upadła i była wyprzedaż działki, zostało kilka metrów powierzchni, która znajduje się pod chodnikiem na ulicy Wólczańskiej, tu za rogiem, która praktycznie rzecz biorąc jest jeszcze nasza.

Jest to jest pas dwumetrowej szerokości, który po prostu ktoś przeoczył. Prawdopodobnie dostanę decyzję, że to już nie jest nasze, należy do Miasta. Przy tej okazji wyszło, że pani Elżbieta Gustawa widnieje w jakiejś ewidencji z owego okresu jako Gustawa Elżbieta Stankiewicz, o czym nikt nie wiedział!

Te nowe historie się ciągle pojawiają, jakbyście otworzyli worek wspomnień!

AS: – Jakiś czas temu żona przeczytała w „Polityce”, że Jarosław Kurski napisał książkę „Dziady i dybuki” i że w książce jest wymieniona Helena Syrkus. To była ciotka mojej kuzynki z Kanady, byliśmy na jej grobie. Napisałem do redaktora Kurskiego list, w starym tradycyjnym stylu, koperta, znaczek. Za tydzień dostaję telefon, że musimy się spotkać, że jesteśmy kojarzeni przez wspólną kuzynkę! Spotkaliśmy się, jesteśmy w kontakcie.

A gdzie mieszka wasza rodzina? Gdy się spotykacie na Zoomie, to skąd się ludzie łączą?

AS: – Rodzinę mamy w Australii, w Sydney, w Kanadzie w Vancouver. Część mieszka w Stanach Zjednoczonych w New Jersey. Jest Izrael, Holandia, Polska, Łódź oczywiście. Jest rodzina we Francji i w Meksyku.

Ja głównie nawiązywałem te kontakty. Pięć lat temu mieliśmy duże rodzinne spotkanie. Większość z nich wcześniej nie wiedziała o sobie w ogóle, a jak wiedzieli, to nie mieli pojęcia, jak nawiązać kontakt. Wszystko ułatwia Internet. Bez niego nie było by to możliwe.

JD: – Chcę powiedzieć jeszcze jedną ważną rzecz. Ta książka nie byłaby możliwa bez Ewy. Ewa ma niesamowitą wiedzę i pamięć, jest wielkim wsparciem.

AS: – Tak, moja żona jest chodzącą encyklopedią, dużo czyta i wszystko pamięta.

Rozmawiała Justyna Tomaszewska



fot. Stolpersteine – Kamienie Pamięci upamiętniające Szymona, Ewę i Artura Lederów – członków rodziny Lederów zamordowanych w czasie II wojny



fot. Rozmówcy w hallu pałacyku Geyera, siedzibie OIL

Autor fot. Justyna Tomaszewska